63

Władysław Bentkowski

CZEMUŻ

NIE BYŁA SIEROTĄ!

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéy.

W DRUKARNI J. WĘCKIEGO.

CZEMUŻ
NIE BYŁA SIEROTĄ!
DRAMA
W TRZECH AKTACH

PRZEZ FRYDERYKA Hr. SKARBKA

WYSTAWIONA NA WIELKIM TEATRZE DNIA 21. LIPCA 1833



WARSZAWA
NAKŁADEM AUG. EM. GLÜCKSBERGA
PRZY ULICY MIODOWÉY № 497.

1833.

OSOBY DRAMATU.	ARTYŚCI
STAROŚCINA	JPani Żółkowska.
GUSTAW iéj syn	JPan Piasecki.
CELINA iéj wychowanica .	JPanna Żuczkowska.
MATYLDA przyjaciółka Celiny	JPanna Palczewska.
ALFRED	JPan Karasiński.
SĄSIADKA Starościny . . .	JPani Jankowska.
EMILIA iéj córka	JPanna Daszkiewiczówna.
PIOTROWA	JPanna Nowicka.
FILIP syn Piotrowéj . . .	JPan Jastrzębski.
INSPEKTOR POLICYI . .	JPan Koss.
WALENTY lokaj Gustawa .	JPan Damse.
JAN obcy lokaj	JPan Swiergocki.
SŁUŻĄCA Celiny	JPanna Baranowska.
STOLARZ	JPan Rywacki.
ŻOŁNIERZE.	

CZEMUŻ NIE BYŁA SIEROTĄ!

DRAMA W 3. AKTACH.

AKT I.

(RZECZ SIĘ DZIEJE NA WSI W DOMU STAROŚCINY. SCENA WYOBRAŻA POKÓJ BAWIALNY. PRZED PODNIESIENIEM ZASBONY SŁYCHAĆ DUET ŚPIEWANY NA SCENIE PRZY ARFIE.)

SCENA I.

CELINA, GUSTAW, ALFRED, EMILIA, MATKA EMILII, STAROŚCINA.

(Celina siedzi trzymając arfę któréj ostatnie akordy dopiero co były słyszane; pulpit z nótami stoi przed nią. Gustaw przy niéj z nótami w ręku, pogląda na nią zachwycony. Alfred stoi za stołkiem Emilii która siedzi przy matce, Starościna siedzi za tą ostatnią, niespokoynie pogląda na syna.)

MATKA EMILII.

Slicznie! prawdziwie żem dawno równie pięknego śpiewu nie słyszała. (do Starościny) Ach

jaka to zajmująca osoba, ileż wdzięków i talentów w sobie łączy!

ALFRED (ciszéj do Emilii).

Czy pani uważasz jak pan Gustaw jest zachwycony.

EMILIA.

Nie dziwię się temu bynajmniéj. (idzie do Celiny, biorąc ją za rękę) Co za głos piękny i jakie czucie w śpiewie.

CELINA (wstaje, Gustaw odbiera od niéj arfę)

Panie mnie zawstydzają prawdziwie, kompozytorowi téj muzyki a nie mnie, należą się te pochwały.

ALFRED (uprzejmie do Celiny).

Skromność jest zwykłą towarzyszką wyższego talentu. (Celina obojętnym uśmiechem odpowiada na tę grzeczność).

MATKA EMILII.

Ale i pan Gustaw ma głos bardzo przyjemny; niemożna lepiéj wtorować tak doskonałéj śpiewaczce.

ALFRED (do Gustawa).

Zwłaszcza kiedy kto jest tak przejęty śpiewem który wykonywa jak pan Gustaw.

GUSTAW.

Niechciałem pozbawić państwa przyjemności słyszenia pani, dla tegom się odważył na ten duet zatrudny dla mnie.

STAROŚCINA.

Mój syn rzadko kiedy śpiewa, i tylko na rozkaz pani (skazując na matkę Emilii) wykonał dziś aryą tak wielką.

AŁFRED (do Celiny).

Osoba któréj towarzyszył, natchnęła P. Gustawa, bo przyznać należy że ten śpiew niezdawał się bydź trudnym dla niego.

GUSTAW (roztargniony).

Bezwątpienia.

MATKA EMILII (wstając do Starościny).

Czas nam tak miło schodzi w domu pani, iż zapominamy o tém, że słońce bliskie jest zachodu, i że mamy jeszcze całą milę złéj drogi przed sobą.

STAROŚCINA.

Niechże się pani nie spieszy, wszakże teraz i po zachodzie słońca widno jeszcze. (patrząc na Gustawa woła go) Gustawie.

MATKA EMILII.

Ale las długi przebywać trzeba, a ja się w nocy lada czego boję.

STAROŚCINA.

Przynajmniéj momencik jeszcze; chciałabym pokazać pani nową roślinę, którą do mojéj oranżeryi dostałam. (cicho do Gustawa który się zbliżył do niéj biorąc go za rękę) Gustawie co ci to? tyś taki roztargniony i pomieszany dzisiaj.

GUSTAW (cicho do niéj).

Nic Matko.

MATKA EMILII.

O chętnie pójdę jeszcze do Oranżeryi; tyle tam jest pięknych rzeczy.

STAROŚCINA.

Służę paniom. — Ale panie pozwolą że Celina zostanie; jest troszkę zgrzana i strudzona śpiewem, wiatr mógłby ją zawiać gdyby teraz wyszła.

MATKA EMILII.

O zapewne; (do Celiny) niech pani szanuje zdrowie swoje, zbyt nam jest wszystkim drogie.

EMILIA.

Ale my już pożegnamy panię, mamo; bo trzeba będzie jechać (żegna się z Celiną).

MATKA EMILII (żegnając się z Celiną).

Zamawiamy sobie na drugi raz równą łaskę jak dzisiaj.
(odchodzą wszyscy, Gustaw oglądając się na Celinę).

SCENA II.

CELINA sama.

(Siadając na dawném miejscu swojém) Ach, oddycham przecież! Co to za męka widzieć oczy obcych osób zwrócone na siebie i obawiać się aby nieodgadły uczuć naszych po każdem poruszeniu i każdéj zmianie twarzy. (poglądając na nóty na pulpicie leżące) Zbyt wiele zaufałam siłom własnym, kiedym się odważyła śpiewać ten duet... z nim... wszyscy musieli uważać wzruszenie moje; matka jego nie spuściła oka ze mnie i z niego. — A on nierozważny z takiem czuciem śpiewał o miłości, jak gdyby chciał przyswoić sobie wyrazy pieśni. O jakże drżącym był mój głos gdy mu trzeba było odpowiadać (spostrzegłszy Gustawa przerażona) Ach!

SCENA III.

CELINA, GUSTAW.

GUSTAW.

Nie lękaj się Pani! to ja twój przyjaciel... twój czciciel....

CELINA (zmieszana).

Panie Gustawie, dla czegóż odstąpiłeś gości? To niewypada, co sobie te panie pomyślą.

GUSTAW (zbliżywszy się do niéj).

Celino! nieodpychaj mnie od siebie, nie dziw się temu że dla ciebie porzucam obojętne dla mnie osoby, (żywo) nadeszła chwila stanowcza w życiu mojem.

CELINA (wzruszona wstaje i chce się oddalić),

Skąd to uniesienie, pozwól pan abym się oddaliła.

GUSTAW (zatrzymując ją).

Nie, daruj mi jeden moment, serce moje zbyt jest przepełnione nadzieją szczęścia i tęsknotą, ażebym mógł milczeć dłużéj.

CELINA.

Emilia tam czeka na pana. — Matka pańska niespokojna ogląda się za tobą. Ona ciebie chce przy niéj widzieć; truchleje może teraz na samą myśl że tutaj jesteś. (z czuciem) Gustawie zaklinam cię na matkę twoją, puść mnie wróć się do gości!

GUSTAW.

Gustawie! Tak Celino, tak było dobrze! (całuje jéj rękę) Pierwszy raz przemówiłaś do mnie pou-

fale; powiedz czy serce twoje przemogło nad rozwagą mowy? wyznaj, że to był głos twego serca.

CELINA (z mocném wzruszeniem).

Nie, zbłądziłam, zapomniałam się. — Panie Gustawie wracaj do gości, może już odjeżdżają, trzeba się z niemi pożegnać.

GUSTAW.

Nie, nie zbłądziłaś, boś poszła za natchnieniem téj pięknéj duszy, która chce zachwycać i uszczęśliwiać wszystkich co ją zrozumieć i wielbić umieją! Milczałem długo, bo nieśmiałem wyjawić ci uczucia mego, lecz dzisiaj głos twój anielski wywołał je z głębi duszy mojéj, i choćby teraz świat cały patrzał na mnie, wyrzekłbym przy nim: że twoja miłość życie moje stanowi.

CELINA
(po pauzie uspakaja się i mówi z rozwagą).

Panie Gustawie, niemasz widzę litości nademną, ani dostatecznéj mocy nad sobą samym! Czyliż to mnie przystoi głosem zimnéj rozwagi przemawiać do ciebie aby wstrzymać uniesienie twoje? (rzewnie) Czy się to godziło ocucać we mnie na próżno tłumione uczucia, aby uśpić moje sumienie.

GUSTAW (z zapałem).

Więc dzielisz moją miłość, wyznałaś to dopiero; nie zdołasz już cofnąć swego słowa, ani zagładzić wrażenia, które na mnie uczyniło.

CELINA (smutno).

To wrażenie zniknie wkrótce, jedném słowem zniszczę marzenia szczęścia które ciebie zajmują. Przypomnę ci tylko, czego sama bez najcięższego smutku wspomnąć niemogę, że jestem.. sierotą, że gruba tajemnica urodzenie moje pokrywa.

GUSTAW.

O nie sądź abyś tem wspomnieniem zniszczyła obraz szczęścia z którem się pieszczę. Miałażbyś mniéj mieć wartości w moich oczach, dla tego że nie ślepemu losowi lecz sobie saméj jedynie jest winna to wszystko czem serce moje zachwycasz?

CELINA.

Lecz świat sądzi inaczéj, i nigdy jeszcze nieodpuścił szczerze winy lekceważenia tego, czego po ludziach wyższego urodzenia wymaga.

GUSTAW.

Jakiżby to był świat nieubłagany, któregoby Celina rozbroić niepotrafiła! i dla takiego świa-

ta miałbym się wyrzekać tego szczęścia, którego oczekiwanie całą moją młodość zajmowało?

CELINA.

Marzenia młodego wieku tworzą sobie taki ideał doskonałości, któremu żadna kobieta wyrównać niepotrafi; biada żonie któréj wady lub słabości szpecą obraz niegdy w kochance ubóstwiany.

GUSTAW (biorąc ją za rękę).

Celino! czyż ja się mogę mylić na tobie? wiek dziecinny przepędziłem razem z tobą i nawykłem kochać cię jako siostrę; późniéj gdym się dowiedział, że ciebie krwi związki ze mną nie łączą, poświęciłem tobie pierwszéj, tobie jedynéj miłość kochanka. To czyste uczucie ocaliło burzliwy wiek namiętności od niszczącego ich wpływu; twój obraz, dozgonnie w sercu mojem wyryty, był tem bóstwem opiekuńczem co nademną w niebezpiecznych przygodach czuwało. Przez lat cztery za granicą przepędzonych, piastowałem jako skarb najdroższy nadzieję posiadania ciebie za powrotem, a teraz żadna siła z rąk moich wyrwać cię nie zdoła.

CELINA

(opierając głowę na jego ramieniu, rzewnie).

Gustawie! Gustawie! zgubiłeś nieszczęśliwą istotę, która cię nad życie kocha, a która nigdy

twoją niebędzie, bo ją przemoc opinii z rąk twoich wydrze niedługo. (po pauzie, oddalając się od niego) Cóż czynię zaślepiona! Gustawie, pójdę do matki twojéj, do téj która mnie dobrodziejstwy obsypywała, a którą ja zdradzam teraz, wyznam jéj winę moją i z jéj ust czekać będę naszego wyroku.

(odchodzi. Gustaw pogląda smutno za nią i rzuca się zamyślony na krzeszło).

SCENA IV.

GUSTAW, ALFRED.

ALFRED (zbliżywszy się zwolna do Gustawa).

Pani Starościna troskliwą jest o pana, pytała się gdziebyś poszedł, i rozumie iż pan zasłabłeś, gdyś tak nagle te damy przed ich odjazdem opuścił.

GUSTAW (ponuro).

Dobrze mi nie jest.

ALFRED.

Możebym odgadł przyczynę cierpień pańskich. (Gustaw surowo pogląda na niego: on po pauzie mówi z uśmiechem) Jestto bardzo niebezpieczną rzeczą, przebywać ciągle z osobą tak piękną i ze wszech miar zajmującą jak panna Celina.

GUSTAW (obojętnie).

Czy tak pan sądzi?

ALFRED.

Najlepiéj o tém sądzić można, czego się doświadczyło. Od dwóch lat bywam już w domu pani Starościny i za jéj dozwoleniem staram się o przychylność panny Celiny.

GUSTAW (usiłując ukryć niechęć swoją).

I zawsze na próżno, to wiele wytrwałości.

ALFRED.

Prawda że dotąd próżne były moje usiłowania, ale dla tego nie wyrzekam się jeszcze nadziei, że z czasem znajdę przystęp do serca téj, która dziś mnie odrzuca.

GUSTAW (zimno).

Na czemże pan opierasz tę nadzieję?

ALFRED.

Na tem, że niemając żadnéj innéj przeszkody, prócz własnego jéj wstrętu, wstręt ten przy wytrwałości mojéj zamieni się w przywiązanie, choć może dopiero po ślubie.

GUSTAW.

Po ślubie? także to pan pewnym jesteś ręki Celiny.

ALFRED.

A któżby mi jéj zaprzeczał, skoro pani Starościna, jéj łaskawa opiekunka, która u sieroty miejsce matki zastępuje, starać mi się o nią pozwoliła?

GUSTAW (z mocą wstając z miejsca)

A gdyby się znalazł kto taki coby pana niechciał dopuścić do osiągnienia tego tak drogiego skarbu?

ALFRED (z umiarkowaniem).

Rozumiem co pan chcesz mówić. Pan sam dzisiaj, wkrótce po powrocie z zagranicy, w tem wiejskiem ustroniu gdzie nikogo niewidujesz coby się Celinie mógł równać, pan sam mówię tak mocno nią jesteś zajęty, iżbyś mi może stał na przeszkodzie w osiągnieniu zamiarów moich.

GUSTAW.

Tak jest, niezapieram się tego; nie tylko dziś ale zawsze.

ALFRED (spokojnie).

To mnie nietrwoży bynajmniéj, bo jestem przekonany iż to chwilowe uniesienie się pańskie prędzèj czy późniéj minąć musi.

GUSTAW.

Musi? — a to dla czego?

ALFRED.

Bo Pan o pojęciu Celiny za żonę myśleć niemożesz.

GUSTAW.

Kto mi to może zabronić?

ALFRED (spokojnie).

Dla mnie zwyczajnego człowieka, który nigdy żadnego niemiał znaczenia, co szczupłe mając fundusze z jednéj maleńkiéj utrzymuję się wioski, jest panna Celina dosyć stosowną partyą, zwłaszcza że umiem ją cenić i poważać. Ale pan, człowiek równie dobrze urodzony jak majętny, który winien szanować względy i prawa społeczeństwa do którego należy, pan niemożesz mieć szczeréj myśli pojęcia za żonę osoby bez imienia, bez familii i bez odpowiedniego majątku.

GUSTAW.

Także to pan nikczemne o mnie masz wyobrażenie?

ALFRED (z mocą).

I owszem przekonany o szlachetnym sposobie myślenia pana, spokojnym jestem o los Celiny, bo wiem że jéj przez pana nieutracę. Upodobanie jakie pan w niéj znajdujesz, odwlecze za-

pewne chwilę spełnienia moich życzeń; cierpieć będę na tem, lecz winien jestem uczynić tę ofiarę dla syna opiekunki Celiny. Ale pewnym jestem że jéj pan ani zaślubić ani uwieśdź niemasz zamiaru, i że nie zechcesz zagradzać drogi do szczęścia człowiekowi, który ci nic złego nie uczynił, a który każdą znośną chwilę swego życia, trudem i poświęceniem okupić musiał. (biorąc go za rękę) Pan jesteś człowiekiem honoru, na tem polega moja rękojmia. (wstrzymuję się widząc wchodzącą Starościnę).

SCENA V.

GUSTAW, ALFRED, STAROŚCINA, CELINA.

STAROŚCINA

(wchodzi wspierając się na ręku Celiny).

Tyś nas tak nagle opuścił Gustawie, a mnie właśnie przy odjeździe tych pań słabo się zrobiło. Potrzebowałam ręki syna na któréj bym się oprzeć mogła. Szczęściem że Celina nadeszła.

GUSTAW (całując jéj rękę).

Przebacz matko mojéj nieuwadze, niemogłem przeczuć iż ci będę potrzebnym.

STAROŚCINA (siada na krześle).

W moim wieku co chwila potrzebować mogę waszéj pomocy. (z uśmiechem dobroci) Ale ty jesteś

dzisiaj nieco roztargniony, a może nawet wzruszony.

GUSTAW.

Nie; miałem właśnie odchodzić gdy pan Alfred nadszedł.

STAROŚCINA.

Zdawało mi się wchodząc żeście z sobą bardzo żywo rozmawiali? Czyby co zaszło między panami? (Celina pogląda niespokojnie na obudwóch).

ALFRED.

Między nami pani? bynajmniéj. Uszanowanie jakiem przejęty jestem dla pani i szacunek mój dla pana Gustawa, są rękojmią tego, iż między nami żadne zajście miejsca mieć niemoże.

STAROŚCINA.

Ale syn mój, może powiedział co mniéj przyjemnego panu?

ALFRED.

Pan Gustaw przykrościby mi wyrządzić niechciał. Jakiżby mógł mieć powód do tego? Jest smutnym prawda, chciałem go rozweselić i mówiłem może zbyt głośno, ale więcéj nic.

STAROŚCINA (patrząc na Gustawa)

Więcéj nic?

ALFRED.

Niech pani Starościna nas nieposądza o nieporozumienie, mieliśmy właśnie iśdź naprzeciw pani.

STAROŚCINA.

Czy tak było Gustawie?

GUSTAW (przybierając wesołą powierzchowność).

Ale tak jest matko, jakiżbyśmy mogli mieć powód niechęci do siebie?

ALFRED.

Pani jesteś słabą, zapewne zechcesz się udać na spoczynek nie zadługo, i na mnie też czas (całując jéj rękę) pożegnam panią tedy, polecając się zawsze jéj łasce.

STAROŚCINA (zatrzymując jego rękę).

Ale pan niemasz żadnego żalu do mego syna?

ALFRED.

Daję słowo uczciwości, iż niemam żalu do pana Gustawa i że z zupełną ufnością polegam na jego szlachetnym sposobie myślenia.
(kłania się z uszanowaniem kobietom, podaje uprzejmie rękę Gustawowi i odchodzi).

SCENA VI.

STAROŚCINA, GUSTAW, CELINA.

STAROŚCINA (gdy odszedł do Gustawa).

Więc jednak polega na twoim szlachetnym sposobie myślenia. Była zatem mowa między wami o przedmiocie który was obudwóch najmocniéj zajmuje. Mówiliście z sobą o Celinie.

GUSTAW.

Tak jest, mówiliśmy o Celinie, o téj którą ty matko dla niego przeznaczasz.

STAROŚCINA.

A którą ty, dla własnego i dla jéj nieszczęścia, nierozmyślną miłością uwodzisz.

GUSTAW (żywo).

Uwodzę? nie, Boga biorę na świadka że miłość moja dla Celiny nie jest ani chwilowem uniesieniem, ani zmyśleniem, że razem ze mną wzrosła i razem pójdzie do grobu.

CELINA
(rzewnie całując rękę Starościny).

Ach pani! którą nawykłam od dzieciństwa zwać matką moją, obraziłam cię jako matkę wzbudzając uczucie miłości w synu twoim! —

Przebacz nieszczęśliwéj, żądaj od niéj ofiary, wszystko uczynię bylebym się niewdzięczną nieokazała.

GUSTAW.

Celina jest niewinną, nigdy ona miłości mojéj okazaniem wzajemnego uczucia niepodniecała... i ja taiłem ją przed nią; dziś gdym pierwszy raz odważył się odkryć jéj żywość uczuć moich, usiłowała napróżno ukryć tajemnicę serca swego, a wyjawiwszy to co szczęście twego syna stanowi, stawa jako występna przed macierzyńskim sądem i ze drzeniem czeka swego wyroku.

STAROŚCINA

(ściskając Celinę która padła przed nią na kolana i podając rękę Gustawowi).

Nierozczulajcie mnie! nieodwołujcie się do serca mego, bobym was przycisnęła do niego i pobłogosławiła waszéj miłości! a przez to zamieniłabym życie wasze w pasmo nieprzyjemności i nieszczęść. Lecz rozsądek każe milczeć przywiązaniu memu.

GUSTAW

(zbliża się do Celiny bierze ją za rękę).

Matko! idź za natchnieniem twego serca, one pewniéj szczęście nasze ustali od zimnéj rachuby rozsądku.

STAROŚCINA.

Posłuchajcie mnie, wyjawię wam tajemnicę urodzenia Celiny, a potém od niéj saméj żądać będę rozstrzygnienia waszego losu. (Gustaw trzymając Celinę za rękę, slucha jéj powieści) Lat temu jest piętnaście jak przejeżdżając przez jednę z odległych ulic stolicy, stangret mój potrącił koniem małą dziewczynkę bez dozoru przed domem zostawioną. Przerażona krzykiem dziecięcia i nadbiegłéj matki jego, wyjrzałam z karety i spostrzegłam iż kobieta w ubogiem odzieniu skrwawione dziecię tuliła i stangretowi memu złorzeczyła. Chcąc nagrodzić nieostróżność jego, wysiadłam z pojazdu, udałam się do izby za matką, była to uboga wyrobnica; (Celina wzruszona usuwa rękę swoją z rąk Gustawa) żal mnie ścisnął na widok nędzy w tem mieszkaniu i zranienia ślicznéj dzieciny, powzięłam myśl zajęcia się jéj losem i prosiłam matki, aby mi ją dała na wychowanie. Chętnie na to przystała wyznając mi iż przymuszoną będąc wychodzić co dzień na robotę a niemając przy kim zostawić córeczki, miała ją właśnie oddać do klasztoru na wychowanie. (podając rękę Celinie) Tym to sposobem dostałaś się do mnie kochana Celino, w piątym roku życia twego. Przy mnie zapomniałaś wkrótce o matce twojéj i mnie to miłe dawałaś na-

zwisko. Z razu niemiałam zamiaru wyniesienia cię nad stan twój, ale przywiązanie jakie dla ciebie powzięłam, piękność twoja i niepospolite zdolności które się wcześnie w tobie rozwijać zaczęły, skłoniły mnie do dania ci tego starannego i wyższego wychowania, które cię w rzędzie zajmujących kobiet stawia.

GUSTAW.

Matko czy sądzisz że to wyznanie może wpływać na zmianę uczuć moich dla Celiny?

STAROŚCINA.

Słuchaj do końca. Gdy Celina przywiązaniem swojem do mnie, wdziękami i talentami swemi, uprzyjemniała moje pożycie, dowiedziałam się o takich okolicznościach tyczących się jéj familii, które mnie zmusiły do zatajenia przed światem i przed nią samą jéj urodzenia i stosunków rodzinnych. Miałam ponieść do grobu tę tajemnicę, a zmieniwszy dawno pierwsze jéj imie, i udając ją za sierotę, chciałam znaleść dla niéj męża, któryby Celinie nie świetne lecz spokojne szczęście zapewnił. Uczyniłam już wybór, cieszyłam się spełnieniem życzeń moich.. a ty Gustawie zniszczyłeś dziś moje zamiary i zmusiłeś mnie do tak przykrego dla mnie i dla was obojga wyznania!

CELINA (mocno przerażona).

A te okoliczności rodzinne o którycheś pani dopiero wspomniała?

STAROŚCINA.

Tych nie wyjawię ci nigdy, dosyć niech wam będzie na tem dowiedzieć się, że one stanowią główną przeszkodę w spełnieniu życzeń waszych.

CELINA (zamyślona i smutno).

Czy matka moja... żyje jeszcze.

STAROŚCINA.

Żyje, ale cię nigdy niewidziała i nie wie nawet u kogo się znajdujesz, bo miałam przyczyny ukrywać przed nią moje nazwisko i miejsce twego pobytu.

CELINA (z gorzkim uśmiechem).

I nigdy się o swoją córkę niedowiadywała, nigdy nie była o nią troskliwa?

STAROŚCINA

Tak byłaś młodą gdym cię od matki wzięła, że się temu dziwić niepowinnaś jeżeli o tobie zapomniała.

CELINA (wzruszona).

A ja mamże o niéj zapomnieć także?

STAROŚCINA

Pamiętałam zawsze o niéj, wydźwignęłam ją z ubóstwa; moje dary potajemnie jéj udzielane zapewniły jéj dostateczny sposób utrzymania, możesz bydź zupełnie o nią spokojną, i nie znając jéj wcale pozostać dozgonnie obcą dla niéj.

CELINA (rzewnie).

Obcą dla niéj! córka obcą dla matki, nieprzyznająca się do niéj, wyrzekająca się tych uczuć i tych obowiązków które Bóg na nią włożył! (rzucając się na łono Starościny) Ach pani, do tegoż mnie to dobrodziejstwa twoje doprowadziły!

GUSTAW.

Nie rozpaczaj Celino, twój żal, twoje szlachetne uczucia, dodają ci wartości w moich oczach. Rozsądny mąż potrafi pogodzić wszelkie względy i poda ci sposobność dopełnienia obowiązków córki, bez wystawienia siebie i żony swojéj na przekąsy niesprawiedliwych ludzi.

CELINA (zrywając się).

Mąż? dla mnie mąż? nie, nie, ja nie będę znać szczęśliwości małżeńskiego pożycia... ja zniknę powoli z téj ziemi bez przyjaciela któryby był osładzał przygody mego życia i nie zostawię nikogo po sobie, coby na moim grobie zapłakał. (płacze)

GUSTAW

Matko! patrzaj jak cierpi! pocóżeś zraniła to tak tkliwe serce! (zbliżając się do niéj) Celino! kochana Celino! czyliżem to niegodzien bydź przyjacielem twoim? Czyliż niepotrafię dzielić z tobą wszelkich przygód pożycia i osłodzić byt twój pod tak nieprzyjazną wróżbą rozpoczęty?

STAROŚCINA (czule).

Ach daruj mi kochana Celino, jeżelim przez wyjawienie twoich rodzinnych stosunków, zatruła goryczą twe serce. Jestem matką, to mój syn jedyny, świat jest tak nie przebłagany, iż truchlałam o dalszy los jego gdyby ciebie miał pojąć za żonę.

CELINA.

Nie lękaj się pani tego, Celina nigdy małżonką twego syna niebędzie.

GUSTAW (z uniesieniem).

Ona, albo żadna.

CELINA

Panie Gustawie, zaklinam cię na tę miłość którąś mi poświęcił, a któréj się wyrzec musisz, zapomniéj o nieszczęśliwéj Celinie... Ja muszę zniknąć z tego świata zapomniana i niekochana.

Niemogę obrać sobie przyjaciela z téj wyrobniczéj klassy do któréj należę, bobym pracy i uciech męża mego dzielić nieumiała; niemogę sięgnąć wyżéj wyborem moim, boby mnie pogarda rówienników męża i jego samego kiedyś czekała.

STAROŚCINA.

Ale kochana Celino unosisz się zbytecznie; bo jeżeli czujesz to dobrze iż Gustaw niemoże bydź twoim mężem, to inny człowiek uczciwy przezemnie obrany, może jeszcze zapewnić los twój i uszczęśliwić cię nawet; niech się tylko uspokoi twoja tęsknota dzisiejsza.

GUSTAW.

Także mnie to łatwo poświęcacie zimnym rachubom przyzwoitości. Jabym miał innemu ustąpić Celiny i shańbić imie moje porzucając ją dla tego że mi świetnego imienia ani wielkiego majątku na wiano wnieść niemoże? Nie, kochana matko tego po mnie żądać niemożesz. Szanuję wolę twoją, będę jéj posłusznym, będę stronił od Celiny, oddalę się nawet od niéj jeżeli tego żądać będziesz, ale dla tego tylko ażeby cię przekonać, że nie chwilowe uniesienie ani zaślepienie miłości mną powoduje, lecz żem powziął niezłomne przekonanie, iż

jedna Celina tylko uszczęśliwić mnie może. Przyidzie czas matko, że mnie sama do niéj przywołasz. (odchodzi)

SCENA VII.

STAROŚCINA, CELINA.

STAROŚCINA.
(obracając się za nim smutno).

Odchodzi żalem przejęty, zniechęcony może przeciw własnéj matce! Ach niewiedziałam że tak wielkie jest przywiązanie jego do ciebie! — Gustawie wróć się, Boże czyliż miłość twoja ma osłabić twoje przywiązanie do mnie? (rozrzewnia się)

CELINA (z czułością).

Uspokój się najukochańsza opiekunko moja. Syn twój niemoże mieć żalu do matki swojéj. Daj mu chwilę spoczynku. (smutno) Niechaj zimna rozwaga wezmie górę nad jego chwilowem uniesieniem. Niezadługo, w cichości bezsennéj, wśród walki sprzecznych uczuć które sercem jego miotać będą, gdy mu przyidzie na myśl powieść twoja, gdy sobie wystawi matkę Celiny... (z mocnem wzruszeniem) otoczoną wszystkiemi znamionami gminności, gdy wspomni na to iżby to i jego matka była... wówczas (z płaczem) zapomni o mnie.

STAROŚCINA (rozrzewniona).

Celino rozdzierasz mi serce, miéj wzgląd na słabość moją.

CELINA.
(padając przed nią na kolana i ściskając jéj dłonie).

O ty! któraś mi więcéj jak życie dała, matko Gustawa, wspieraj mnie radą twoją; powiedz co mam czynić aby on o mnie, a ja o nim zapomnieć mogła! O gdybyś mnie mogła poniżeć, wrócić do stanu do którego należę, odebrać mi to światło, te talenta które twojéj łaski są dziełem, możebym straciła wyobrażenia o tém, na czem dzisiaj moje szczęście zakładam. — Czemużeś mnie pani nie wychowała na prostą sługę swoją? to było stosowne dla mnie miejsce, byłabym do ciebie przywiązaną tak jak dziś jestem. Wszak dobra służąca także jest przyjaciółką naszą.

STAROŚCINA.

Celino, droga Celino, uspokój się.

CELINA.

Chciałaś pani abym sięgnęła po wyższe światło, ażebym się do twego społeczeństwa ukształciła, abym była zdolna podobać się i zająć tych co mnie poznają.... Niestety! ujrzałam

światło które mnie tylko razi, ukształciłam się do towarzystwa które mną pogardzać będzie, umiałam się podobać ale na to tylko abym zraniła serce matki i okazała się niewdzięczną dla największéj dobrodziejki mojéj. Ach pani, odbierz mi te owoce dobroczynności twojéj! przez nią stałam się nieszczęśliwą ofiarą wyższego nad stan mój wychowania.
(Rzuca się z płaczem na łono Starościny).

(ZASŁONA ZAPADA).

AKT II.

(KILKA MIESIĘCY PÓŹNIEJ. RZECZ SIĘ DZIEJE W WARSZAWIE. SCENA PRZEDSTAWIA POKÓJ W DOMU ZAJEZDNYM).

SCENA I.

CELINA sama.

(siedzi zamyślona przed stolikiem, ociera łzy. Ubrana jest czarno).

Tak więc przerwane jest pasmo dotychczasowego pożycia mego! Wstąpiłam jakby na obcą ziemię, mam przebywać między nieznajomymi, bez opieki, bez przyjacioł. Znikły już wszystkie marzenia moje, ubiegłe lata są dla mnie obrazem utraconéj na zawsze pomyślności, a moja przyszłość.... (po pauzie) jest okropną!— Śmierć mi porwała opiekunkę, a przemoc opinii towarzysza życia; zostałam sama... sama jedna... bez przewodnika w tym odmęcie światowym, w którym właściwego dla siebie miejsca znaleść niepotrafię. (pauza) Ach jak mnie los srogo prześladuje! Nie dosyć było wyrzec się Gustawa i odrzucić tkliwą miłość jego aby się nie stać niewdzięczną, trzebaż było postradać

jeszcze jedyną opiekunkę moją, tę dla któréj jego poświęciłam, (pauza) niemogłam nawet płakać na jéj grobie, bobym przy nim Gustawa spotykała! Niemogłam pozostać w tem wiejskiem ustroniu gdzie własne szczęście przeżyłam, bo to ustronie jest własnością Gustawa. Opinia ludzi i miłość nasza wypędziły mnie z tego domu, lubo nieosuszone jeszcze były łzy moje po stracie matki naszéj. (pauza) Matki naszéj! (z ciężkiem westchnieniem) to był ostatni odgłos długiego omamienia mego! Wszakże ja mam matkę tutaj, poznam ją jeszcze dzisiaj. O Boże dodaj mi odwagi! drżę na samo wspomnienie... (słychać hałas u drzwi) Ktoś nadchodzi, zapewne służąca którą wysłałam dowiedzieć się o mieszkaniu matki mojéj (wstając) trzeba więc będzie...

SCENA II.

CELINA, GUSTAW (w żałobie).

CELINA (spostrzegłszy Gustawa do siebie).

Nieba! to on...

GUSTAW.

Celino! czy się to godziło porzucać pokryjomu przyjaciela swego, wtedy właśnie gdy mu ciężki smutek dokucza?

CELINA (zmieszana).

Pan Gustaw tutaj? jakiż przypadek sprowadził pana do Stolicy.

GUSTAW.

Za tobą, dla ciebie tylko tutaj przybyłem, błagać twojéj litości nad osieroconym.

CELINA

Opuszczając dom pański wypełniłam najświętszy obowiązek względem matki pańskiéj, względem pana i względem siebie saméj.

GUSTAW.

Jak można było bez mojéj wiedzy, puszczać się saméj z jedną tylko służącą w podróż do tego wielkiego miasta, w którem niemasz nikogo znajomego, żadnego przyjaciela.

CELINA (wzruszona).

Mam tutaj matkę.

GUSTAW.

Jeszcze nie czas widzieć się z nią; po dotkliwéj stracie która nas spotkała, potrzebowałaś Celino dłuższego spoczynku; mogłaś polegać na mojéj troskliwości, jabymbył wyszukał twoją matkę i sprowadził ją do mego domu.

CELINA

A ja tymczasem byłabym wystawioną na złośliwe wyrzuty wszystkich co nas znają, każda chwila w domu pańskim spędzona była zatruta tą myślą, iż ściągam na siebie niesławę.

GUSTAW (biorąc ją za rękę.)

Ach Celino niemów tego, bo to przykro brzmi w uszach twego przyjaciela! Gdybyś była chciała więcéj we mnie pokładać ufności, gdybyś mi była wyznała obawę twoją, byłbym się oddalił z własnego domu i niebyłbym nawet w nim bywał aż do chwili w któreybyśmy przed światem wyznać mogli że będziemy z sobą połączeni.

CELINA (usuwając rękę).

Ta chwila nie nastąpi nigdy.

GUSTAW.

Co i teraz mi jeszcze toż samo powtarzasz? Szanowałem wolę matki mojéj, uwielbiałem twój szlachetny sposób myślenia, gdyś jéj przyrzekła że zapomnisz o mnie, aby się nie stać przyczyną zmartwienia dla téj która cię wychowała. Ale Celino ty niemogłaś zapomnieć o mnie, a teraz gdy nas ta kochana matka opuściła, gdy wszystkie względy i zgryzoty téj ziemi obce są dla niéj, jakież jeszcze możesz mieć powody sprzeciwiania się szczęściu memu?

CELINA.

Śmierć nie zawsze zwalnia pozostałych z obowiązków które względem zgasłych zaciągnęli, i cieniom uwielbianych przez nas istot trzeba umieć dochować wiary.

GUSTAW (czule).

Pamiętasz ten dzień tak bolesny dla nas w którym dobra matka moja przykrem wyznaniem swojem chciała nas oderwać od siebie, aby nas od prześladowań świata zasłonić, pamiętasz iż niezdołała wtenczas ukryć tajemnych życzeń swego serca, że byłaby pobłogosławiła naszéj miłości, gdyby wzgląd światowy serca i ręki jéj od tego macierzyńskiego czynu niebył odwrócił.

CELINA (smutno).

Było to chwilowe rozczulenie się, skutek jéj przywiązania do nas, a ślepe przywiązanie nie raz w błąd nas wprowadza.

GUSTAW (biorąc ją za rękę).

Wtenczas przemogła nad uczuciem matki obawa kobiety światowym stosunkom i towarzyskim prawom ulegającéj. Dziś gdy czysta jéj dusza oswobodzona jest z wszystkich nikczemności doczesnego życia, błogosławi matka moja z przy-

bytku wieczności ślubom naszym. (żywo) Celino! z tamtąd żąda ona od ciebie mego uszczęśliwienia, byłabyś niewdzięczną gdybyś jéj głosu niesłuchała.

CELINA (mocno wzruszona).

Gustawie! pocóżeś przybył tutaj! już miałam tyle mocy nad sobą, iż rozumiałam że potrafię przytłumić uczucie moje... a ty wzniecasz na nowo w tem słabem sercu namiętność zgubną dla nas obojga.

GUSTAW (z uniesieniem).

Nie, tyś niemogła wyrzekać się miłości! ty mnie kochasz, ty będziesz moją.

CELINA
(starając się wziąść moc nad sobą).

Gustawie! zaklinam cię na twoją miłość, nieżądaj jeszcze odemnie stanowczéj odpowiedzi. Zostaw mnie samą, mam wielki obowiązek do dopełnienia. Przypominasz sobie że matka twoja wspomniała nam o moich stosunkach familijnych... które najgłówniejszą przeszkodę naszego połączenia stanowią, zamilczała o nich w ówczas, późniejsze nalegania moje były daremne, niechciała mi nic wyjawić w téj mierze, przypadkiem tylko dowiedziałam się od niéj o

miejscu pobytu mojéj matki, muszę przedewszystkiem odkryć tę tajemnicę, poznać te stosunki, które tak mocno matkę twoją zatrważały.

GUSTAW.

Nie teraz Celino! nie teraz, wyjaśniemy to późniéj.

CELINA.

O nie, potem możeby było zapóźno, dziś jeszcze muszę wszystkie usunąć wątpliwości, muszę poznać prawdę... (z boleścią) choćby i najboleśniejszą dla mnie bydź miała.

GUSTAW.

Mnie to zleć, pozwól niech ja wyszukam twoją matkę, niech ją przygotuję do tego iż ma odzyskać córkę; niech ją skłonię aby się na wieś przeniosła, tam dopiero będziesz mogła dopełnić obowiązków jakie masz dla niéj.

CELINA (żywo).

Nie Gustawie, tak bydź niemoże, toby było nowem dla mnie złudzeniem, twoje przywiązanie mogłoby cię skłonić do tego że przez szlachetne podejście, zniewoliłbyś mnie do lekceważenia przestrog twojéj matki, ja muszę sama poznać prawdę i potem wydać wyrok na siebie.

GUSTAW.

Pozwól przynajmniéj na to abym ci do matki twojéj towarzyszył.

CELINA.

Nie... nigdy na to niepozwolę, ja sama, sama jedna tam bydź muszę (służąca Celiny wchodzi) moja służąca nadchodzi. Gustawie zostaw nas.

GUSTAW.

Wypełnię wolę twoją, ale mi przyrzecz że bez mojéj rady nic nieuczynisz, że nieodrzucisz pomocy mojéj.

CELINA (niespokojna).

Przyrzekam, lecz się oddal. (Gustaw odchodzi)

SCENA III.

CELINA, SŁUŻĄCA.

CELINA (gdy Gustaw odszedł, żywo).

I cóż? dowiedziałaś się o mieszkaniu téj kobiety? trafiłażeś do domu który ci wskazałam?

SŁUŻĄCA.

Trafiłam, ale ledwo, bo to w takim zakącie.

CELINA.

Czy widziałaś Piotrową? czyś z nią mówiła?

SŁUŻĄCA.

Nie, człowiek jakiś stojący przed domem wskazał mi jéj mieszkanie.

CELINA (mocno wzruszona).

Pójdź ze mną, zaprowadź mnie.

SŁUŻĄCA.

Ale pani, to bydź niemoże ażebyś pani do tego domu iśdź miała.

CELINA.

Muszę, prowadź mnie. (po namyśle) Ale ty niewejdziesz ze mną, zostaniesz na ulicy z dalcka i poczekasz na mnie.

SŁUŻĄCA.

To niewypada żeby pani miała sama...

CELINA (przerywając).

Pójdź, pójdź, prowadź mnie. (wychodzą)

ZMIANA DEKORACYI.

(MIESZKANIE PIOTROWÉJ, ZWYCZAJNA IZBA, NA LEWO DUŻY STÓŁ W GŁĘBI, NA PRAWO ŁÓŻKO I SKRZYNKA PRZED NIEM).

SCENA IV.

PIOTROWA, FILIP.

PIOTROWA

Ale cię przecie nikt niewidział jakeś się wymknął z tego pałacu.

FILIP

(zakładając lewą rękę na chustkę czarną).

A choćby mnie i widział cóż z tego? wszakżem był w liberyi przebrany za lokaja, a teraz jestem żebrakiem i kaleką (skazując na rękę).

PIOTROWA.

Alboż to ciebie nie znają? nieraz już byłeś w ich rękach. Zobaczysz że ty mnie jeszcze jakiéj biedy narobisz, lepiéjbyś oto wyniósł się gdzieindziéj, do jakiego innego miasta.

FILIP.

A, chcecie mnie się pozbyć matko, czy wam to źle ze mną? małoście to skorzystali z tego com wam znosił do domu?

PIOTROWA.

E ja wolę mieć do czynienia z obcymi jak z własnym synem, bo się człowiek lada czego obawia dla niego. Czyś mnie to mało strachu nabawił gdy mnie przed dwoma laty do sądu powołali jako twoją matkę?

FILIP.

Czym się was niewyparł? czy was wplątałem w moją sprawę? powiedźciesz. Dwa latam biedował w kajdanach, a wam się nic niestało.

PIOTROWA.

Póty dzban wodę nosi póki się nieurwie.

FILIP.

E lepiejbyście oto schowali dobrze te kilka łyżek com wam przyniósł dzisiaj, jak co mi gadacie ni to ni owo.

PIOTROWA.

Toć je schowałam do łóżka, a wieczorem je sobie odbierzesz, ale mi jedną zostawisz.

FILIP.

Nie, trzeba je stopić wszystkie, jak wezmę za nie pieniądze to wam co przyniosę.

PIOTROWA.

O ty też co przyniesiesz.

FILIP.

Cicho, bo oto ktoś idzie.
(siada u rogu stołu i zasuwa czapkę na czoło).

SCENA V.

Ciż sami, JAN.
(wkrótce po nim wchodzi dwóch wyrobników i siada za stołem)

JAN.

Dobre południe pani Piotrowo; a masz tam wasani co kwaśnego dla mnie, bom diable niewyspany?

PIOTROWA.

A jest ci barszcz i dobry. Gdzieżeś się wason niewyspał?

JAN.

A toć na tym przeklętym balu. Co to za psia służba; człowiek całą noc na nogach i potem jeszcze wstań rano, uprzątaj pokoje, trzęś się za pojazdem. Odwiozłem mego pana gdzie tam zasiada, a sam (ziewa) przyszedłem zjeść co ciepłego bo mnie mgli.

PIOTROWA (stawiając przed nim jedzenie).

Alboś to się wason niemógł posilić na tym balu coś był na nim.

JAN.

Ale był na nim? a czy mi to co dali domowi lokaje? rozdrapalić oni sami wszystko. (zaczyna jeść) Ale żebyś wasani wiedziała co się tam hałasu narobiło.

PIOTROWA.

Cóż takiego, mój panie Janie.

JAN.

Oto się złodziéj wcisnął między dworskich i ukradł kilka łyżek srebrnych jakeśmy sprzątali od stołu.

(Filip nasuwa lepiéj czapkę na oczy).

PIOTROWA.

Niegadaj wason! a złapali go też?

JAN.

E gdzie tam, to jakiś stary majster, oczywiście je wziął przy nas wszystkich i tak przepadł jakby kamień w wodę wrzucił.

PIOTROWA.

A widział żeś go Wason co?

JAN.

Tak jak wasanią teraz widzę, gdyby mi się gdzie nawinął poznałbym go zaraz.

(Piotrowa okazuje niespokojność).

FILIP
(obracając się śmiało do niego, mówi).

Oj to to, gdybyś go wason mógł nadybać toby dobrze było oddać go w ręce policyi. Złodziejeć to winni temu że my biedacy co chcemy uprosić sobie na kawałek chleba u panów, nie możemy się w żadnym domu pokazać bo nas zaraz posądzają i za drzwi wypychają.

JAN.

I nam dworskim ci hultaje chleb psują; że jeden ukradnie to panowie wszystkim niedowierzają. Wystaw sobie wasani, kiedy też to był łokaj w liberyi co dziś skradł te łyżki.

FILIP.

E, może tylko przebrany za lokaja, oni to umieją.

JAN.

Może i tak było; a jak zdejmie liberyą, to kto go potem pozna.

FILIP.

A oczywiście, kto tam może spamiętać twarz nieznajomego.

JAN (skończył jeść).

Posiliłem się trochę, teraz muszę się konie-

cznie przedrzymać, bo mi się oczy lepią nieznośnie. (opiera się na stole i zasypia).

PIOTROWA.

A śpij sobie Wason byle niedługo. (woła danym znakiem Filipa, gdy ten się zbliżył do niéj, ciszéj) Wynieś że się ztąd, boś mnie i tak już niemałego strachu nabawił.

FILIP.

Idźcie wprzódy matko wyjrzeć na ulicę czy tam niema którego z nich ... i czy człowiek może sobie wyiśdź bezpieczny.

PIOTROWA.

Dobrze.

(chce wychodzić w tem się drzwi raptem otwierają).

SCENA VI.

Ciż sami. CELINA

(wchodzi szybko i zatrzymuje się zą pierwszym krokiem z wyrazem przerażenia i trwogi).

PIOTROWA.

A to co? taka pani tutaj? (zbliżając się do Celiny która nie śmie daléj postąpić) Wielmożna pani się zapewne omyliła, kogóż to wielmożna pani szuka,

CELINA (drzącym głosem).

Czy tu mieszka... pani Piotrowa... co utrzymuje traktyernią.

PIOTROWA.

A tak tutaj, ja jestem Piotrową, na usługi wielmożnéj pani.

CELINA

(patrzy na nią, prowadzi wzrok obłąkany po wszystkich innych, drzy cała i słabieje).

(po pauzie) Moja... pani... każ mi podać krzesło, bo mi się słabo robi.
(Filip podaje stołek, Celina siada na niego i mdleje w rękach Piotrowéj).

PIOTROWA.

A to rzecz osobliwsza, przyszła tu po to aby zesłabła, co ja z nią pocznę?

FILIP.

Otrzeźwie ja ją ino jéj lewe ramie ścisnę.
(ściska jéj ramie. Celina cuci się, wlepia w niego oczy odpycha go ze zgrozą, obraca się do Piotrowéj, pogląda na nią, potem zasłania sobie oczy. Przytem upuszcza na ziemię piękny worek w którym brzęczą pieniądze, Filip zdejmuje czapkę i rzuca ją nieznacznie na ten worek).

FILIP.

O jak to pomogło, oto przychodzi do siebie... Kiedyć mnie odpycha to i pójdę precz. (podnosi czapkę z workiem chowa go pokryjomu i z wolna odchodzi).

SCENA VII.

Ciż sami prócz FILIPA.

PIOTROWA.

Cóż się wielmożnéj pani stało.

CELINA (wlepiając w nią oczy).

Ja sama niewiem... ach jak tu duszno.

PIOTROWA.

Zaraz, otworzę okno na ulicę.

CELINA.

Na ulicę, (zatrzymując ją) nie, nietrzeba; (z przerażeniem) mógłby mnie kto widzieć.

PIOTROWA.

A, to to nietrzeba żeby ludzie wielmożną panią widzieli. Rozumiem, nie otworzę, bądź pani spokojna. Ale za pozwoleniem, kto pani jesteś, czy panna? czy mężatka? czy pani? czy też w kondycyi jakiéj?

CELINA (przychodząc do siebie z zamyślenia).

Kto ja jestem? (patrząc na nią, po pauzie) Ach nieszczęśliwą, bardzo nieszczęśliwą jestem. (zasłania oczy).

PIOTROWA.

Nieszczęśliwą! to osobliwsza rzecz, tegoby nikt niepowiedział patrząc na ubiór pani. Ale czegóż pani chcesz odemnie? boś się wielmożna pani o mnie pytała.

CELINA.

Nie mów mi... Wielmożna pani.... tak do mnie mówić niepowinnaś.

PIOTROWA.

A to zapewne panna jeszcze, no kiedy tak moja panienko powiedzże mi co pannę do mnie sprowadza.

CELINA (oglądając się z trwogą).

Tutaj jest tylu jakichciś nieznaiomych ludzi.

PIOTROWA.

Niech panienka na nich niezważa. Tamci to są wyrobnicy którzy sobie obiad jedzą i na nic niezważaią, ten lokaj tutaj spi, to nic niebędzie słyszał (ogląda się) A ten co panienkę trzeźwił.... wyszedł widzę.

CELINA (w zamyśleniu).

Ach jak się lękam wszystkiego, każde wejrzenie na mnie zwrócone, jest okropnem dla mnie.

PIOTROWA.

Przypadki po ludziach chodzą... to nic dziwnego.

CELINA

(zawsze zamyślona nie oglądaiąc się).

Czy ci ludzie tam, nie patrzą na mnie.

PIOTROWA.

Nie, oni już nawet odchodzą (wyrobnicy wstają i odchodzą). (do siebie). Co to za jakieś bojaźliwe stworzenie (głośno). No gadajno panna czego chcesz odemnie bo ja niemam czasu, a potem może który dozorca nadejdzie toby nas miał w podejrzeniu.

CELINA.

(ocucaiąc się z zamyślenia)

Dozorca? w podejrzeniu? A czy ja to co złego popełniłam? Jak to, więc tedy jesteś w obawie, ażebym nie sciągnęła jakiego podejrzenia na ciebie.

PIOTROWA.

A moja panno, kryjesz się przed ludźmi, mdlejesz i gadasz takie rzeczy, co się jedne drugich nietrzymają; to nie dziw że się obawiam, abyś mnie w jaką biedę niewplątała. Czemuż mi nie powiesz po prostu czego chcesz odemnie?

CELINA.
(chcąc wziąść moc nad sobą).

Dobrze mówisz, należało mi od razu powiedzieć co mnie tu sprowadza, zaraz, niech tylko zbiorę myśli moie (po pauzie). Pani jedna na wsi mieszkaiąca, przysyłała ci, czasem, iaki zasiłek.

PIOTROWA.

A tak prawda; to jakaś osobliwa dobrodziejka moja, bo ją tylko raz w życiu widziałam, a odtąd zawsze o mnie pamiętała.

CELINA.

Niestety już więcej o nas pamiętać niebędzie, bo (z rzewnym płaczem). opuściła nas na zawsze.

PIOTROWA.

Co? umarła może? Szkoda doprawdy; była to jakaś dobra pani. Boże świeć nad jej duszą.

CELINA

Ale ona wzięła podobno twoią córkę na wychowanie i nieoddała ci jéj więcéj.

PIOTROWA.

A tak, tak; Boże daj jéj niebo za to.

CELINA (wzruszona).

I nigdyś nieżałowała tej córki.

PIOTROWA.

A moja panno, czegóż jéy miałam żałować? Czy jéj to tam jaka krzywda była? Pewnieć jéj tam lepiej było jak u mnie i nawet jak w klasztorze między podrzutkami.

CELINA. (z żalem)

Więceś jéj nigdy niekochała, kiedyś ją chciała umieścić między podrzutkami.

PIOTROWA.

E kiedy bieda, to człowiek nie może myśleć o kochaniu dzieci, tylko o tem jak ich się pozbyć.

CELINA

Ale teraz kiedy nie jesteś w niedostatku, czybyś niechciała przyjąć do siebie córki swojéj?.

PIOTROWA.

Zaczynam ja miarkować na co to wszystko kroi, teraz kiedy pani mojéj córki umarła, kiedy jéj bieda to sobie przypomniała o mnie i chce mi się na kark sprowadzić.

CELINA

Czybyś jéj niechciała przyjąć gdyby tak było?

PIOTROWA.

Moja panno dajże mi święty pokój, kiedy mo-

ja córka nie pamiętała o mnie póki jej dobrze było, kiedy przez kilkanaście lat mogła się nawet niespytać czy ja żyję, niechże sobie teraz mnie nieprzypomina kiedy jéj bieda.

CELINA (mocno wzruszona).

A gdyby się okazało że córka twoja niewiedziała nawet że ma matkę przy życiu, że się o tém dopiero krótko przed śmiercią łaskawéj opiekunki swojéj dowiedziała, i że niemając dziś żadnego przytułku chce wrócić do matki swojéj.

PIOTROWA.

A cobym ja tu z nią poczęła? ona zapewne przyzwyczajona do wygód, pewnie służyła za jaką garderobiankę albo za pannę u téj pani, toby chciała bóg wie czego, a nieby robić niemogła. Albo ja to mam skąd brać na jéj utrzymanie.

CELINA.

Gdyby ona i tego nieżądała, gdyby ci ofiarowała przyzwoite opatrzenie twoich wygód, gdyby chciała uwolnić matkę swoją od ciężkiéj pracy i od kłopotów (biorąc ią za rękę), Gdyby ta niewinna a nieszczęśliwa córka chciała matkę swoją uszczęśliwić.

PIOTROWA
(słysząc mocny hałas u drzwi)

Cicho no panno, bo ktoś idzie (widząc wchodzą-

cych) Dla Boga to policya, a ja nieszczęśliwa kobieta.

(Celina mocno przerażona usuwa się na bok, Piotrowa zmieszana pogląda na łóżko i na skrzynkę).

JAN. (budzi się nagle i mówi).

Co to jest? Gdzie ja jestem.

SCENA VIII.

Ciż sami, INSPEKTOR POLICYI.

(z żołnierzami z których dwóch prowadzi FILIPA),

INSPEKTOR.

Niewypuszczać nikogo z téy izby (do Piotrowéy skazuiąc na Filipa) Czy był on tu dzisiaj?

(Filip daie znak matce żeby zaprzeczała).

PIOTROWA.

Niepamiętam Wielmożny Inspektorze, niepamiętam.

JAN.

(przypatruiąc się Filipowi)

A był proszę pana, oto tu siedział, na przeciw mnie.

INSPEKTOR.

A ty kto jesteś?

JAN.

Ja jestem służącym pana Prezesa, przyszedłem tu na obiad i zdrzymałem się na ławie.

INSPEKTOR.

(spoglądaiąc na Celinę).

A ta panna, czy pani, co za iedna?

PIOTROWA.

Tego ja niewiem, przyszła ni ztąd ni zowąd, nieznam jéj wcale.

INSPEKTOR.

Sądząc po powierzchowności Pani, dziwić się muszę że osobę taką, w miéjscu tak podejrzanym zastaję.

CELINA (truchleje i miesza się).

W miejscu podejrzanem? jak to być może? gdzież ja jestem.

INSPEKTOR.

Niechcę pani posądzać, ale przyznasz pani że mam słuszne powody do ściśleyszego badania wszystkich osób które tutaj zastałem, ponieważ jest podejrzenie że ten człowiek skradł dzisiejszéj nocy srebra i że one w tym domu są przechowane.

CELINA.

Ach! dla Boga.... to podejrzenie musi bydź niesprawiedliwe.

INSPEKTOR.

Ten człowiek jest znany złodziéj, schwytano go gdy ztąd wychodził i znaleziono przy nim ten damski worek (okazuie go) który własnością jego bydź nie może.

CELINA.

(spostrzegłszy worek).

To jest mój woreczek, został mi tutaj skradziony.

INSPEKTOR.

Abym temu mógł dać wiarę, potrzeba mi powiedzieć, kto pani jesteś i do kogoś tutaj przybyła?

CELINA (mocno zmieszana).

Na Boga przysięgam, że jestem niewinną, zbieg nieszczęśliwych okoliczności sprowadził mnie do tego domu.

FILIP.

Niech jéy Pan Inspektor niewierzy, przybyła do tego domu szukać schronienia, z temi koszto-

wnościami co się w tym worku znajdują, a ja pomiarkowawszy to, wziąłem go na to tylko, ażebym go odniosł na Policyą.

INSPEKTOR.

Za nadto grube kłamstwo, aby warte bydź miały mojéj uwagi. Ale przedewszystkiem przejrzyjmy najprzód tę izbę, czyś ty tu czego nieprzechował (do ludzi) otwierajcie do téj skrzyni (do Pietrowy) Dać mi klucz do niéj (Piotrowa oddaje mu klucz).

CELINA

(żywo zbliżając się do Inspektora).

Cóż gospodyni tego domu może być winna temu, że się zły człowiek u niéj znajdował? Czyż się to godzi posądzać ją o wspólnictwo w jego niegodziwości?

INSPEKTOR.

Ja nieposądzam nikogo bez słusznych powodów. Ten człowiek jest złoczyńcą a (skazując na Piotrowę) to jest jego matka.

CELINA.

(rzucając się na stołek z okrzykiem)

Ach! Boże! zlituj się nademną... Czemuż nie jestem sierotą! (zaslania sobie oczy,

(ci co szukali w skrzyni dobyli z niéj liberyą)

INSPEKTOR.

Co znaczy ta liberya w téy skrzynce, do kogo ona należy?

PIOTROWA.

Jeden dworski zastawił ją u mnie.

JAN.

(przypatrując się liberyi).

Panie Inspektorze, ten złodziej który wczoraj ukradł srebra na balu, miał taką samą liberyą.

INSPEKTOR.

(skazując na Filipa)

Niech ją ten przywdzieje (do Piotrowéj) Jeżeli się pokaże iż on tę liberyą tu do schowania oddał, to się i srebra u wasani znajdą.

(Celina podniosła oczy i zwraca je osłupiałe na Piotrowę i na Filipa)

JAN.

(gdy Filipa ubrano w liberyą).

To on, to ten sam co ukradł srebra, na tobym przysiągł.

INSPEKTOR. (do swoich ludzi).

Szukajcie wszędzie sreber, przewracajcie wszy-

stko, muszą tu bydź, bo to nie pierwszy raz, że ta Jmość rzeczy kradzione przechowuje.

CELINA.

(w zupełnem osłupieniu powtarza ponuro i cicho ostatnie słowa).

.... Rzeczy kradzione przechowuje.

JAN.

(który szukał z ludzmi dobywaiąc łyżki z łóżka).

Oto są łyżki srebrne.

INSPEKTOR. (do Piotrowej).

Otóż jest dowód oczywisty, że należysz do wspólnictwa kradzieży przez syna twojego popełnionéj.

CELINA.

(z obłąkanemi oczami powtarza ze śmiechem).

.. Do wspólnictwa kradzieży przez syna twojego popełnionéj.

INSPEKTOR.

Moim obowiązkiem jest zebrać wszystkie poszlaki i aresztować tych na których pada podejrzenie. Dla tego zaprowadzicie matkę z synem razem do więzienia.

CELINA.

(patrząc na nich z obłąkanym wzrokiem powtarza ponuro).

Matkę z synem razem... do więzienia.

INSPEKTOR. (do Celiny).

Ponieważ zastałem panią czy pannę w towarzystwie tak niegodziwych ludzi, gdy prócz tego rzeczy wielkiéy wartości znajdujące się w tym worku, zdają się nienależeć do osoby która piechotą sama przybyła do kobiety w zmowie ze złodziejami będącéj, więc i pani pomimo przystojnéj powierzchowności swojéj musisz pójśdź z nami i stawić się... (Celina która z wyrazem zupełnego obłąkania słuchała Inspektora, przerywa mu głośnym i przeraźliwym śmiechem).

INSPEKTOR.

Cóż to jest, co się znaczy ten śmiech nienaturalny?

CELINA.

(w zupełnem obłąkaniu wstaje i bierze Inspektora za rękę)

Pójdź, pójdź, tylko cicho, żebyś jéj nieobudził. Tu, tu, uklęknij, zmówiemy pacierz (rzewnie). Gustawie zmówmy pacierz za duszę twojéj matki, no klękaj, mów cicho, żebyś jéj nieobudził, (klęka z wolna i modli się po cichu).

INSPEKTOR.

Zdaje się iż ma zmysły pomieszane, albo doskonale udaje.

CELINA (wstaje).

Ale mnie nieodpychaj od siebie, niewypędzaj mnie z domu swego, ja umiem szyć, to będę szyła dla ciebie. Nie, nie, ja muszę odeyśdź, uciekać z twego domu, Gustawie nie chodź za mną, niepatrz się na mnie, ja jestem siostrą złodzieja, nie, nie, to nieprawda, ja nie jego siostra, ona nie jest moją matką (płacze).

PIOTROWA.

Boże mnie skarz! może to moja córka.

CELINA (biegnąc żywo naprzód).

Córka! kto powiedział że ja córka.... ja nie jestem ani córką, ani siostrą, ja nie miałam matki (chowa się za krzesło). Oni mnie chcą zrobić córką, chcą mi dać matkę i brata (biegnie do Inspektora) Gustawie ratuj (pada zemdlona w ręce ludzi którzy ją otaczają.)

(ZASŁONA ZAPADA).

AKT III.

Kilka miesięcy poźniej. Rzecz się dzieje na wsi w zamku do Gustawa należącym. Scena wystawia pokoj na piętrze z dwoma bocznemi drzwiami; we środku są drzwi szklanne na ganek wychodzące przez które widać niebo i wierzchołki drzew pod gankiem stojących.

SCENA I.

WALENTY STOLARZ.

STOLARZ.

(klęczy w otwartem oknie ganku zajęty robotą).

Ale też to tu kaducznie wysoko, aż się człowiekowi przykrzy patrzeć na dół; dosyć zamek stoi na górze a tu jeszcze pierwsze piętro, jak spojrzysz na dół to się aż w głowie kręci. Taras spadzisty, a pod tarasem rzeka płynie; żeby człowiek ztąd miał zlecić, oho jużby było po człowieku, jak kamień by się w wodę stoczył.

WALENTY (uprzątając w pokoju).

Dla tegoć też żeby człek niezleciał, to pan kazał wasanu zrobić do tego ganku mocną galeryą na miéjscu téj która zgniła i sama spadła.

STOLARZ.

Łatwiéj było kazać zamurować okno do połowy.

WALENTY.

Ale kiedy się naszéj pannie ten ganek podobał, mówiła że na nim bardzoby było przyjemnie siedzieć z robotą i patrzeć na piękną okolicę, a nasz pan wszystko zrobi, czego ona tylko zapragnie choćby tysiące kosztować miało.

STOLARZ.

Proszę wasana mój panie Walenty, bo ja tego nigdy niemogłem rozumieć, czy to jaka krewna pańska czy co? Toć ona się pono wychowała w domu nieboszkiej pani starościny.

WALENTY.

E zaś krewna, to tylko wychowanica nieboszkiéj pani naszéj. Ba żebyć była krewna, toby nasz pan dla niéj tyle historyi nierobił.

STOLARZ.

Aha! To on się pewno jéj zaleca, może się będzie chciał z nią żenić.

WALENTY.

A katać co! Gdyby nieboszka Jmość żyła toby z tego nic niebyło, ale teraz, któż im zabroni.

STOLARZ.

Toć ona pono odjechała już była od naszego pana, z tamtych dóbr po śmierci pani starościny, skądże się znowu tutaj wzięła?

WALENTY.

Toć odjechała, bo jak nieboszka Jmość zamknęła oczy to niemogła zostać przy młodym kawalerze, boby ludzie byli gadali.

STOLARZ.

No kiedyć raz odjechała pocóż wracała? Chyba że to tylko było udanie.

WALENTY.

Albo to nasz pan mógł wytrzymać bez niéj, pojechał zaraz za nią, znalazł ją w Warszawie, ale ona tam zachorowała, tylko niepleććiesz o tem nikomu.

STOLARZ.

A czegóżbym miał ....

WALENTY.

Coś jéj się niby popsuło w głowie, tak jak to kiedy człowiek zwaryjuje. Leczyli ją najprzód tam, potém doktorowie kazali ją wywieźć na świeże powietrze, a pan jéj przeznaczył na miszkanie ten swój zamek, dla tego że w nim sam nic

mieszka. Bywał u niéj często póki jeszcze była słaba, ale teraz co już ozdrowiała to rzadko kiedy tu przyjdzie i tylko się dowiaduje o jéj zdrowiu.

STOLARZ.

Ja się niedziwuje temu, że nasz pan ją lubi, bo to bardzo dobra panna, wszyscy ludzie ją chwalą.

WALENTY.

Dobrać to prawda, ale widzisz wason to niewypada na takiego pana jak nasz pan, ażeby się miał żenić z taką panną, co to niewiada co ona za jedna; jemuby się trzeba ożenić z iaką familiantką bogatą.

STOLARZ.

A może on też niemyśli się z nią żenić tylko tak...

WALENTY.

E gdzie zaś; gdyby się niemiał żenić toby iej tak nieszanował. A toć on wziął do niej jakąś Jmość co ją to z nią widujecie, która jéj nigdy nieodstępuje, zawsze ją bawi i rozwesela.

STOLARZ.

Ale to nie służąca?

WALENTY.

A juścić nic służąca tylko pani, wdowa jakaś dawna przyjaciołka naszéj panny, co z nią razem była na pensyi. A co to wygód potrzeba dla tych dwóch kobiet! Co to wymysłów! A co to naszego pana kosztuje!

STOLARZ.

Ba alboć niema nato, no ale ja tu plotę a trzeba się spieszyć z tą galeryą, bom panu przyrzekł dokończyć ją na jutro. Ostancie z bogiem panie Walenty (odchodzi).

WALENTY. (idąc za nim).

Bądź wason zdrów panie majster, tylko proszę wasana żeby ta galerya była mocna, coby sę to człowiek mógł bydź bezpiecznym na ganku.

SCENA II.

CELINA i MATYLDA. (wchodzą z bocznego pokoju). (od prawéj strony) WALENTY.

CELINA.

Jaki dzień pogodny. (do Walentego który chciał zamykać okno od ganku). Nie Walenty, niezamykaj tego okna, miło nam będzie oddychać świeżem powietrzem.

WALENTY.

Ale proszę pani kiedy jeszcze niema galeryi na ganku.

CELINA.

To nic nie szkodzi, postaw nam tu dwa krzesła.

WALENTY.

Gdzie na ganku? A niech mnie pan bóg broni, toby się mogło pani w głowie zakręcić.

(ostatnie wyrazy przykre wrażenie uczyniły na Celinie).

MATYLDA.

Ale nie na ganku, tylko przy otwartem oknie (Walenty stawia stołki).

CELINA.

Wszakże się dzisiaj pana niespodziewacie?

WALENTY.

Nic nam niemówił, gdy ostatni raz odjeżdżał kiedy go się spodziewać mamy.

CELINA.

Możesz sobie odejśdź kochany Walenty, a dasz nam znać gdyby kto miał przyjechać.

(Walenty odchodzi drzwiami głównemi na lewo).

SCENA III.

CELINA i MATYLDA.

(obie siadaią przy oknie).

CELINA.

Ach jakiż to piękny wiosenny poranek! Co za świeżość powietrza! Wonia kwitnących krzewów aż tutaj dochodzi. Jak tam wszystko nowem życiem oddycha! Patrzaj za rzeką na ten rząd pługów któremi wieśniacy żyzną ziemię wzruszają. Jak te woły mijają jedne drugie, ztąd niewidać ich utrudzenia, ani jarzma które ich karki gniecie..... Tak i my nieraz na pozór zdajemy się bydź szczęśliwemi, lubo nas nieszczęście gnębi w duszy

MATYLDA.

Zawsze o tem nieszczęściu! Na cokolwiek spojrzysz choć przedmiot najmilszy i same przyjemne czyniący wrażenia, ty w nim jakąś smutną i przykrą stronę upatrzeć potrafisz.

CELINA.

Usposobienie umysłu naszego nadaje wesołą lub smutną postać przedmiotom na które patrzemy. A w mojéj duszy zaległ smutek na zawsze! swoboda, wesołość, szczęście... dozgonnie obcemi będą dla niéj.

MATYLDA

Widzisz jak nie dobrą jesteś Celino, jak niedotrzymujesz danego słowa Gustawowi? Wszakżeś mu przyrzekła, że się nie będziesz smucić. W jego obecności umiesz przybierać weselszą postać.

CELINA.

Ach! niewiesz Matyldo ile mnie to kosztuje! Każdy uśmiech jest przykrością dla mnie, ilekroć wesołém słowém lub spojrzeniem ucieszę Gustawa, tyle razy go oszukuję i zdradzam.

MATYLDA.

Jakto? Kiedy już niema żadnéj przeszkody połączeniu waszemu, kiedy się dla was swobodna przyszłość otwiera, to ty wtenczas wątpisz jeszcze o waszem zobopólnem szczęściu?

CELINA. (biorąc ją za rękę).

Posłuchaj mnie Matyldo, tobie mogę otworzyć serce moje. Nadszedł już dzień stanowczy, dziś wszystkim jawne będą moje zamiary, moje nieodzowne postanowienie.

MATYLDA.

Jakto? Cóż chcesz przez to powiedzieć.

CELINA. (z ciężkim smutkiem).

Dziś przybędzie tutaj Alfred, ten sam które-

go matka Gustawa na męża dla mnie przeznaczała.

MATYLDA. (zdziwiona).

Skądże wiesz o tém? pocoby miał przybywać?

CELINA.

Sama go o to listownie prosiłam, przybędzie po to, aby odebrał odemnie zaręczenie téj ręki, którą dla niego matka Gustawa przeznaczyła.

MATYLDA.

Celino! Więc ty zdradzasz Gustawa.

CELINA

Zdradzałabym go niegodnie gdybym inaczéj postępować miała, gdybym, słuchając głosu mego serca, spełniła życzenia nasze i została jego małżonką.

MATYLDA.

Jakto? zdradzałabyś go ustalając jego szczęście.

CELINA

Póki tylko byłam wychowanicą starościny, póki mnie miano za sierotę, którą jéj dobrodziéjstwa do rzędu osób wyższego towarzystwa wyniosły, póty mogłam się jeszcze łudzić nadzieją prze-

błagania świata, za siebie i za męża któryby mnie pojął za żonę. Ale dziś gdy jest wiadomo tylu ludziom, do jakiéj familii należę, że więzienie matkę i brata mego ukrywa, dziś gdy choroba którą przebrana miara nieszczęść na mnie ściągnęła, zniszczyła cały urok osobistéj wartości mojéj, (z obłąkanemi oczami) gdy każdy widzi we mnie zwątloną na umyśle istotę i córkę.

MATYLDA.

(przerywając jéj nagle).

Celino! Co czynisz, uspokój się.

CELINA.

(milczy chwilę tak jakby chciała zebrać myśli swoje, patrząc przed siebie zamyślona, spokojnie).

Dobrze mówisz, doktór kazał mi się wystrzegać wszelkiego wzruszenia; i on mnie zaklinał ażebym nigdy niemyślała o tem... co było.... co jest jeszcze — ale tam (oglądając się z dreszczem) tam daleko odemnie.

MATYLDA.

A ty niesłuchasz ani rad lekarskich, ani próźb najlepszego przyjaciela swego. Po co to było zapraszać Alfreda tutaj.

CELINA.

Ale kochana Matyldo, czyż ja mogę wytrwać

dłużéj w tym stanie męczarni umysłowéj w którym teraz ciągle zostaję? Gustaw coraz to nowemi obsypuje mnie dobrodziejstwami, widuję go zbyt często, ponawia mi dawne śluby swoje, żąda abym jak najprędzéj zezwoliła na nasze zamęzcie!.... Nie Matyldo, ja niemam już dosyć mocy umysłu abym się temu wszystkiemu oprzeć mogła.

MATYLDA.

Ale dla czegoż nie miałabyś skłonić się do życzeń Gustawa, kiedy on w posiadaniu ciebie najwyższe swoje szczęście zakłada.

CELINA.

Miłość go unosi, myli się w swoim mniemaniu i zapomina o tém, co to jest za dręczące uczucie ta pogarda, którejby uniknąć niemożna było.

MATYLDA.

Czy ty sądzisz że onby kiedy mógł tobą pogardzać?

CELINA

O nie, tegobym się nieobawiała, bo choćby po upływie lat kilku mniéj miłem jak dzisiaj na mnie poglądał okiem, choćby mi w tenczas dał dowód lekceważenia a nawet pogardy, przyjęłabym to z pokorą od niego, od Gustawa, od do-

broczyńcy mego. Ale on byłby przy mnie przedmiotem pogardy. Gdyby się gdzie zemną na widok złych ludzi wystawił, pokazywanoby go z daleka, to ten nierozsądny, niedbały o swoją dobrą sławę, mówionoby, to ten Gustaw, który pojął za żonę....

MATYLDA (przerywaiąc).

Celino droga, Celino, znowu się zapominasz.

CELINA. (po pauzie).

Muszę go więc ocalić, i dla tego, wolę raz narazić się na jego narzekania, na jego wzgardę, na posądzenie mnie nawet o niewdzięczność, jak bydź przez całe życie przyczyną jego poniżenia i zgryzoty.

SCENA IV.

CELINA, MATYLDA, WALENTY, późniéj ALFRED.

WALENTY.

Proszę pani ten sam pan przyjechał co to bywał dawniéj w domu nieboszkiéj pani starościny.

CELINA (wzruszona do Matyldy).

To Alfred, nieodstępuj mnie Matyldo, dodawaj mi śmiałości.

WALENTY.

Chce się z panią widzieć, a ja niewiem co mu mam powiedzieć.

CELINA.

Proś go, Walenty.

WALENTY.

Ale kiedy nasz pan przykazał, aby mówić każdemu ktoby do pani przyjechał, że pani słaba, że się z panią widzieć niemożna.

CELINA.

Proś go, nieobawiaj się twego pana (Walenty odchodzi).

MATYLDA.

Czy też to dobrze, że bez wiedzy Gustawa chcesz się widzieć z Alfredem.

CELINA.

Muszę, nadchodzi wspieraj mnie.

ALFRED.

(wchodzi z wolna po ukłonie do Celiny zimno).

Przybywam na rozkaz pani, przejęty zadziwieniem z powodu wyrazów listu pani. Mamże wierzeć temu iż pani o mnie jeszcze niezapomniałaś.

CELINA (zmieszana).

Osoba.... która mi niegdy.... przez dobrotliwą opiekunkę moją poleconą była..... niemoże tak łatwo wyjśdź z mojéj pamięci.

ALFRED.

Zbyt mało zawsze doznawałem łaskawej przychylności pani, abym niemiał sądzić inaczéj.

CELINA.

Czas wiele zmienia, unosi on z sobą nierozmyślne życzenia, zwycięża zwolna uprzedzenia nasze.

ALFRED. (zimno)

Mamże dać wiarę temu, że czas zmienił nietylko uprzedzenia ale i uczucia pani.

CELINA (zmieszana).

Wyznałam... to już panu... w moim liście;... obowiązki wdzięczności które zaciągnęłam względem téj co mnie wychowała, każą mi szanować jéj wolę.

ALFRED.

Pobudka ta jest bardzo szlachetna, ale czy poświęcenie do jakiego ona panią skłania, nie jest zbyt przykrem dla niej.

CELINA (drząco).

Ja... nie czynię... żadnego... poświęcenia.

ALFRED.

Wzruszenie, wyraz twarzy pani, inaczéj wnosić mi każą. Zdaje mi się iż pani ulegasz tylko smutnéj dla siebie konieczności, która dla mnie zapowiednią szczęścia bydź niemoże.

CELINA.

Niemam prawda ani dosyć mocy umysłu, ani tyle obłudy, abym zmyśloną wesołością umiała pokryć smutku, który po tylu cierpieniach duszę moją ogarnął; lecz sądziłam że znajdę u pana to pobłażanie i tę względność któreby nieszczęśliwe położenie moje wzbudzać mogło.

ALFRED.

Możesz pani zawsze bydź pewną największéj względności z méj strony.... Ale przykroby mi było otrzymać od nieszczęścia, od konieczności od zimnego obowiązku, to, com kiedyś pragnął uzyskać od szacunku i od przychylności pani.

CELINA

Szacunek mój posiadałeś pan zawsze; przychylność z czasem tylko nastać może.

ALFRED.

Mnie się zdaje, że ten czas nieprzyjdzie dla mnie nigdy. Proszę darować otwartości mojéj, powiem co myślę i com uczynić postanowił. Przybyłem tutaj niechcąc pani uchybić przez niewypełnienie jéj rozkazu, ale niełudziłem się bynajmniéj nadzieją, iż się może z iścić to, co list pani zapowiadał. Czas do którego się pani odwołujesz, zmienił tylko okoliczności, ale niezmienił uczuć pani. Nieżądam wiele, lecz żądam tego do czego każdy uczciwy człowiek ma prawo. Zastanów się pani nad sobą, a uznasz dla czego wola zgasłéj opiekunki twojéj spełnioną bydź niemoże.

CELINA.

(mocno wzruszona, biorąc Matyldę za rękę)

Rozumiem pana..... poświęcenie byłoby za wielkie z twojéj strony... zbłądziłam, obraziłam pana nawet.... zapomniałam, pisząc list do pana, kim jestem, i jakiéj to trzeba mocy duszy aby mi względne uczucie poświęcić (do Matyldy) Matyldo odprowadź mnie. (odchodzą do bocznego pokoiu)

SCENA V.

ALFRED. (sam)

(poglądając za nią). O nie sądź aby mi zbywało na mocy duszy, do przezwyciężenia wstrętu, jaki-

by twoje nieszczęścia w pospolitym umyśle wzbudzić mogły. Twoje urodzenie, smutna nikczemność twojéj familii, chwilowe cierpienie któremu uległaś, nieby mnie od ciebie nieodstręczało gdyby szczerość w sercu i w ustach twoich była. Z nędznego domu twojéj matki, w obec urągaiących się ze mnie ludzi wziąłbym cię za żonę, gdybyś mi otwarcie zaufała i nadzieję przynajmniéj przychylności dać mogła.... Ale z domu Gustawa, z miejsca gdzie on cię swoją łaską obsypuje, nigdy.

SCENA VI.

WALENTY i ALFRED.

WALENTY (misternie)

Panie, panie, nasz pan przyjechał.

ALFRED (surowo).

I cóż z tego.

WALENTY.

Ja myślałem że Pan zechcesz mu zejśdź z oczów, bo on tego nie lubi, żeby kto bywał u naszéj panny.

ALFRED.

Ja tutaj pokryjomu nieprzybyłem.

WALENTY.

Niechže pan czyni co się panu podoba. Oto idzie mój pan. (Walenty otwiera drzwi Gustawowi i odchodzi.)

SCENA VII.

ALFRED i GUSTAW.

GUSTAW.

(zatrzymuje się spostrzegłszy Alfreda).

A, pan tutaj? Niespodziewałem się zastać go w tym domu.

ALFRED.

Zaręczam panu, żem nieprzybył tutaj aby mieszać spokojność jego, lub sprzeciwiać się jego zamiarom.

GUSTAW.

Chcę wierzyć temu, i dla tego dziwi mnie bytność pańska u osoby, któréj zdrowie jest jeszcze nadwątlone, dla któréj każde wspomnienie dawnych jéj stosunków jest przykrem i niebezpiecznem. Wypadałoby mieć wzgląd na jéj słabość i niedać jéj powodu do wzruszenia, któreby jéj zdrowiu skodzić mogło.

ALFRED.

Miałem to wszystko na względzie i niebyłbym przybył do domu tego, gdyby mnie panna Celina sama nie była wezwała do siebie.

GUSTAW (żywo zdziwiony).

Jakto Celina? A to z jakiego powodu.

ALFRED.

(poglądając surowo na niego).

Pan się dziwisz temu? Więc się to bez wiedzy pańskiéj stało.

GUSTAW.

Nietylko że się dziwię, ale mi nawet trudno dać wiarę temu.

ALFRED.

(z pogardzającym uśmiechem).

O mój panie, między nami takie udawanie nieuchodzi, nie jestem ja ani dzieckiem ani łatwowiernym człowiekiem, abym się miał dać złapać w sidła na mnie zastawione.

GUSTAW (żywo).

Nierozumiem pana wcale, ktoby mógł mieć zamiar zastawienia jakich sideł na pana?

ALFRED.

(dobywa listu i oddaje go Gustawowi)

Ten list pana objaśni (Gustaw porywa list) Czytaj go pan, albo udawaj przynajmniéj że go czytasz i ześ o nim nic dotąt niewiedział.

GUSTAW.

(przebiegłszy z żywem wzruszeniem list do siebie).

Celino! co się to znaczy, ty mnie zdradzasz, ty mnie chcesz porzucić.

ALFRED (z ironią).

Porzuca pana, i mnie daje pierwszeństwo.

GUSTAW.

Niepojmuję tego (do Alfreda) Pan musiałeś się odwołać do niéj i żądać od niéj spełnienia przyrzeczeń mojéj matki.

ALFRED (z niechęcią).

Proszę pana, niech pan nie gra przy mnie komedyi od dawna wyuczonéj, która mnie złudzić nie zdoła.

GUSTAW (żywo).

Cóż pan chcesz przez to rozumieć? dla czegóżbym miał udawać cośkolwiek przed panem? Niemam się z czym taić ani kryć przed nikim.

Chcę pojąć Celinę za żonę i dla tego dziwić mnie to musi, że kto inny śmie wdzierać się w moje prawa.

ALFRED.

(z urągającym uśmiechem).

Wdzierać w pańskie prawa! Nie zaiste, niewidział mnie pan, ani żaden z jego ludzi, abym się zakradał jako amant do tego domu i abym się starał odwodzić Celinę od uczuć, które panu poświęciła (z mocą) niewdzieram się w pańskie prawa, ale niechcę też służyć za płaszcz do pokrycia bezprawiów pańskich.

GUSTAW (z gniewem).

Moich bezprawiów? proszę mi się wytłomaczyć z tego.

ALFRED (zimno).

Tłomaczenie się moje będzie jasne i zrozumiałe. Gdym się z panem ostatni raz w domu zmarłéj matki jego widział, oświadczyłem mu, iż polegając na jego uczciwości pewnym jestem że Celiny ani zaślubić ani... uwieśdź niemasz zamiaru.

GUSTAW.

Niedałem panu nigdy słowa na to ażebym jéj niemiał zaślubić.

ALFRED.

Niewyrzucam też tego panu abyś miał ten zamiar. Dawniéj byłoby trudną do darowania rzeczą gdybyś miał pojąć sierotę za małżonkę, lecz dziś nikt temu nawet wierzeć niemoże, abyś chciał poślubić osobę, któréj familia zalega więzienie i która sama ledwo co z obłąkania wyleczoną została.

GUSTAW

(z uniesieniem gniewu)

A,... jak to boli, jak to dokucza, lecz czekam jeszcze dokończ pan, jakież tedy są moje zamiary.

ALFRED (z mocą)

Narzucić ją mnie za żonę, ażeby mojem dobrem imieniem Celiny i własną swoją niesławę pokryć.

GUSTAW (z uniesieniem).

To za nadto— takiéj obrazy i w własnym domu, poszukiwać muszę, pan mi nieodmówisz zadosyć uczynienia; ale natychmiast, tutaj zaraz bez odwlekania.

ALFRED.

Tego tylko pragnę i tym sposobem chciałem

zerwać wszelkie stosunki które kiedyś między mną a wami zachodziły. Przybyłem z tem postanowieniem aby poszukiwać krzywdy mnie wyrządzonéj, przez wyrwanie mi nadziei szczęścia i znieważenie mego imienia, sądząc że ono może posłużyć do pokrycia waszych nieprawości. Byli tacy, którzy mnie uprzedzili o waszych zamiarach, a list Celiny potwierdził ich domysły....

GUSTAW (przerywając mu)

Ciszéj panie, abyś niezatrwożył téj nieszczęśliwéj istoty, którąś tak haniebnie spotwarzył. Idź nad brzeg rzeki, w bok zamku, w ogrodzie, pod lipami czekaj na mnie. Przynieś broń swoją ze sobą, ja z jednym człowiekiem przybędę.

ALFRED (odchodząc).

Niech długo nieczekam.

GUSTAW.

Nienadużyję cierpliwości.

SCENA VIII.

GUSTAW (sam).

(W mocnem wzruszeniu idzie ku drzwiom bocznego pokoju, bierze za klamkę i zatrzymuję się nagle).

Nie, niemożna, poznałaby z twarzy mojéj co

się w mojem sercu dzieje. Lecz jakże jéj niewidzieć raz jeszcze! (pauza) Nie, zatrzymałaby mnie, niemógłbym się od niéj oderwać (surowo) spóźniłbym się może (pauza) A ieżeli......cóż się z nią stanie wtedy? (pauza) Ale dla czegóż ona go przywoływała do siebie?.... dla czegóż mnie dla niego chciała porzucić?.... muszę to wyjaśnieć. (idzie ku drzwiom które Matylda z wolna otwiera i zatrzymuje go.

SCENA IX.

MATYLDA i GUSTAW.

MATYLDA.

Zatrzymaj się pan, teraz niemożna, mocno była wzruszona, ledwom ją uspokoiła, usnęła trochę.

GUSTAW.

Na boga powiedz mi pani, dla czego wezwała Alfreda? (pokazując jéj list) dla czego ten list do niego pisała? Czy mnie zdradza, czy mnie już niekocha?

MATYLDA.

Chciała siebie poświęcić, aby pana ochronić od pogardy świata, gdybyś się z nią połączył.

GUSTAW (z żalem).

O nieszczęśliwa Celino! czyliż to trujące wyobrażenie pogardy nigdy z twojéj duszy nieustąpi! (po pauzie żywo biorąc Matyldę za rękę). Teraz więcéj jak kiedykolwiek potrzebną mi jest twoja pomoc pani,—strzeż Celiny — strzeż jéj pilnie, niech będzie spokojna, za chwilę powrócę; a jeżelibym niemiał wrócić, bądź jéj przyjaciołką dozgonną. W moich papierach znajdziesz zapewnienie jéj losu (odchodząc zatrzymuje się przy drzwiach bocznych). O Celino! czemuż cię do tego serca przycisnąć nie mogę! (wybiega).

SCENA X.

MATYLDA później CELINA.

MATYLDA.

Cóż to jest? Co się to znaczy? musiało cós zajśdź między niemi (spostrzegłszy wchodzącą Celinę) Ach! ona.

CELINA

(niespokojna wychodzi żywo ze swego pokoju)

On tu był, słyszałam głos jego, wołał Celino, wszak był? wszak wołał?

MATYLDA (zmieszana).

Nie nikt tu niebył, nikt ciebie niewołał.

CELINA.

(biorąc ją żywo za rękę pogląda na nią surowo).

Matyldo! ty coś taisz przedemną. On mnie wołał, ja niespałam, marzyłam tylko o nim, o nim właśnie marzyłam, kiedy jego głos przerwał marzenie moje.

MATYLDA.

Zapewne dla tego żeś o Gustawie marzyła, zdawało ci się żeś głos jego słyszała.

CELINA.

Nie, nie, to niebyło złudzenie, słyszałam wyraźnie, słyszałam: Celino (bierze Matyldę za rękę, ogląda się i słucha) cicho, czekaj (smutno) nic już niesłyszę (pauza, rzucając się w objęcia Matyldy) Matyldo! miéj litość nademną, powiedz mi prawdę, on tu był?

MATYLDA.

Ale Celino uspokój się, dla czegóżbym miała taić przed tobą jego przybycie.

CELINA.

(odrywając się od niéj).

Dla czego? Oto ci powiem, domyślam się te-

raz, przybył tu, zastał Alfreda, rozgniewał się, przemówił się z nim, pokłócił, i może poszedł z nim (chce wybiedz)

MATYLDA (zatrzymując ją).

Celino! zaklinam cię na miłość Gustawa, uspokój się, jesteś wzruszona, gdybyś wyszła, mogłabyś zasłabnąć..... zmartwiłabyś tem Gustawa.

CELINA (zatrzymując się)

(zwolna) zmartwiłabym go? Ale mi powiedz czy był tutaj? gdzie poszedł?

MATYLDA.

Powtarzam ci że niebył, że to było twoje złudzenie.

CELINA.

Nie, nie ja się niemylę, ja się niemogłam mylić (biegnie do stolika) przecież są jeszcze inni ludzie w zamku prócz ciebie (dzwoni i czeka) nikt? gdzież się podziali wszyscy? (dzwoni drugi raz mocniéj i słucha potem). Cóż to? same zostałyśmy w zamku? Czy niemasz nikogo? Co to za ludzie niedbali, nieznośni (porywa w gniewie dzwonek mocno dzwoni i czeka. W tem słychać wystrzał. Celina wydaje okrzyk przeraźliwy i wybiega wchodowemi drzwiami).

MATYLDA. (spiesząc za nią).

Celino dokąd, Celino! (we drzwiach) nie puszczajcie jéj, trzymajcie, (Walenty wpada)

WALENTY.

Pani ratuj, ratuj pana mego!

MATYLDA.

Ale Celina! czemużeś jéj niezatrzymał.

WALENTY. (z rozpaczą).

Mój pan, mój pan kochany, upadł za pierwszym wystrzałem. Jogo trzeba ratować może żyje jeszcze, tuż przy zamku się strzelali w ogrodzie, widziałem to z okna mojéj izdebki. Pójdź pani, ratuj, na miłość boską ratuj mego kochanego pana.

MATYLDA.

O Boże! cóż się stanie z Celiną! (wychodzi z Walentym).

SCENA OSTATNIA.

CELINA. (sama).

(Chwila próżnéj sceny, słychać bieganie ludzi i wołanie, Celina wpada średniemi drzwiami w zupełnem obłąkaniu, trzymaiąc zakrwawioną chustkę w ręku, którą, przyciska do serca).

Niedam — niedam; to jedno mi po nim zosta-

ło,— i tobyś mi jeszcze chciał odebrać! (goni po scenie) uciekasz podły, —morderco,—lękasz się mojéj zemsty, (zatrzymuje się przy stoliku porywa dzwonek i dzwoni). Jest tam kto?—nikt—cicho—jeszcze raz (dzwoni) teraz wystrzeli— (śmieje się przeraźliwie) Czegóż tak patrzycie na mnie—czy mnie nie znacie?—Tak jest? jestem córka Piotrowéj, Piotrowa była moja matka, a jéj syn był złodziéj, a ona miała srebro w łóżku. (pauza, składając ręce) Niebierzcie mnie do więzienia, ja jestem niewinną, ja nic nieukradłam, spytajcie się Gustawa (siada na przeciw otwartego okna ganku, skazując na chustkę zwolna i ponuro) To jest jego krew. (pauza potem śpiewa).

Jak błyśnięcie w nocy ginie,
Jak głos fletu wiatr przewieje,
Jak schnie rosa na drzewinie,
Tak przeminą me nadzieje!

Czemuż do mnie niepowraca!
Któż go może kochać tyle!....
Już zapomniał dawne chwile...
Ach on życie moje skraca...

(po pauzie) Cicho! — Ktoś woła. — Słyszycie? Celino! Celino! (zrywa się z miéjsca) To Gustaw mnie woła. — (skazuje na ganek) Tam,... tam... idę... biegnę... (biegnie do ganku i wypada z niego z krzykiem.)

MATYLDA (wpada na scenę).

Celino! Celino!

(gdy Celina wypada gankiem, Matylda to spostrzegłszy wydaje krzyk, biegnie do ganku i woła)

Na boga ratujcie ją.—Ach! co za śmierć okropna (pada na krzesło).

KONIEC SZTUKI.